GŁOS NARODU

WINOWAJCY.

GALICJA W ROKU 1846.

(Ciąg dalszy).

Oto dosłowny przekład z niemieckiego: „Elżbieta z br. Przychockich Dydyńska i Franciszek br. Przychocki, wnieśli do c. k. kancelarji nadwornej podanie, w którem proszą o satysfakcję za zniewagę, wrzekomo wyrządzoną ich ojcu, właścicielowi dóbr, Aleksandrowi Przychockiemu, przez gubernialnego praktykanta konceptowego, Vitzthuma, oraz o odszkodowanie z powodu splądrowania ojcowskiego majątku przez chłopów. Według osnowy tego podania, miał Vitzthum w czasie rozruchów, gdy w Dziekanowcach od zgromadzonych chłopów otrzymał wiadomość o zrabowaniu dworu Przychockich w Sierakowie, czyn ten pochwalić i powiedzieć przytem, że baron jest taki sam łajdak, jak wszyscy inni, i że słusznie go taki los spotkał. Wskutek tego podania, polecono staroście w Bochni bliższe zbadanie postępowania Vitzthuma, politycznego zachowania się właściciela dóbr, Aleksandra br. Przychockiego i jego dzieci w czasie powstania, wreszcie powetowanie szkody, przez rabunek zrządzonej, o ile to jest możliwem i winni mogą być wyśledzeni. W przedłożonej relacji donosi starosta w Bochni, że w sprawie odszkodowania już przedtem wydano zarządzenie, że zrabowane przedmioty, o ile je u poddanych znaleziono, zostały im odebrane i właścicielom zwrócone, a równocześnie zarządzono przez urzędownie ustanowionych mandatarjuszy sprawdzenie istoty czynu co do popełnionego rabunku i przesłano sprawę sądowi karnemu do urzędowania. Do relacji dołączony jest wykaz przy rewizji w gminie Sieraków i Nowawieś znalezionych, a ze zrabowanego dworu sierakowskiego pochodzących efektów, które rodzinie Przychockich zwrócono. Co do postępowania Vitzthuma, starosta bez wdrożenia formalnego dochodzenia zasięgnął jedynie informacji w sposób, w oko niewpadający, polecając komisarzom cyrkularnym, Vajdzie i Gedlowi, aby w formie pogadanki wybadali świadków wymienionych w podaniu do kancelarji nadwornej. Rezultat jest następujący: Według sprawozdania komisarza cyrkularnego Gedla, administrator parafji dziekanowieckiej, ks. Wieczorek, i szynkarz w Sierakowie, Broniewski, potwierdzali w rozmowie, że Vitzthum wobec poddanych dziekanowieckich, od których otrzymał wiadomość o zrabowaniu dworu w Sierakowie, czyn ten pochwalił i do administratora parafji, ujmującego się za starym Przychockim, powiedział głośno, „że słusznie mu się stało, bo jest taki sam łajdak, jak wszyscy inni". Według dalszego oświadczenia ks. Wieczorka, miał Vitzthum chłopom prowadzącym dzierżawcę Jaworskiego, wydać rozkaz, aby zdarli z niego futro lisie. Według opowiadań komisarza cyrkułowego Gedla, ma Vitzthum z powodu poruczonych mu spraw wielu nieprzyjaciół i zapewne z tej przyczyny posiada złą opinię w cyrkule Bocheńskim. W sprawozdaniu komisarza cyrkularnego Vajdy przedstawiony jest Vitzthum, jako człowiek niezwykle lekkomyślny i niedoświadczony. Podczas ważnych misji, poruczonych mu w czasie powstania, postępował w sposób nierozsądny i proklamował w gminach poddańczych uwolnienie od pańszczyzny. W tym czasie miał być zawsze w stanie wzburzonym, zapijać się, a wysłany do Limanowy, przez swoją nieroztropność dał tam powód do nieporozu-

Dodatek bezpłatny do „Głosu Narodu" z 22. lutego 1903 roku.

mienia, które łatwo doprowadzić mogło do krwawych ekscesów i zażegnane zostało tylko dzięki oględności komisarza cyrkularnego, Grohmanna. O Vitzthumie obiegają zresztą w obwodzie Bocheńskim rozmaite wieści. I tak np. mówią, że przy rozdzielaniu pieniędzy składkowych i przy zakupie zboża nie postępował w sposób całkiem nieposzlakowany, że w czasie rozruchów w kilku miejscowościach przywłaszczył sobie kosztowne przedmioty. Wieści te znajdują poniekąd wiarę ze względu na wpadające w oko, a z dochodami konceptowego praktykanta gubernialnego w żadnym stosunku nie stojące wydatki, które Vitzthum, notorycznie nie posiadający majątku, na życie łożył. Co do politycznego zachowania się rodziny Przychockich, donosi starosta, że ojciec, Aleksander, który umarł ze zgryzoty po zrabowaniu jego majątku, a do którego odnosiły się powyżej przytoczone słowa Vitzthuma, był człowiekiem honorowym i wcale nie mieszał się do knowań politycznych. Służył on niegdyś w galicyjskiej gwardji szlacheckiej był potem cyrkularnym komisarzem, ustąpił po kilkoletniej służbie, został przez cesarza Franciszka I mianowany kuratorem klasztoru Benedyktynek w Staniątkach i odznaczony krzyżem kawalerskim orderu Leopolda. Podpisane na podaniu do kancelarji nadwornej dzieci Aleksandra, Franciszek, Eliza i Walerja Przychoccy, nie brały udziału w knowaniach politycznych i wogóle nie miały zgoła żadnego znaczenia politycznego. Najstarszy zaś syn, Teodor Przychocki, z powodu obwinienia o udział w wypadkach rewolucyjnych, pozostawał w śledztwie sądowo-karnem, ale został potem uwolniony i był w Gratzu internowany".

Więc Vitzthum, według świadectwa kolegów, dwóch komisarzy cyrkularnych, biurokratów, co najmniej pobłażliwie traktujących nadużycia ówczesne, był hultajem na wielki kamień, upijał się i żył nad stan, pochwalał rabunki przez chłopów dokonane, a nawet kazał rządcę Jaworskiego z futra obrabować, przywłaszczał sobie kosztowne przedmioty z dworów w sposób łatwo odgadnąć się dający, wreszcie sprzeniewierzał grosz publiczny. Cóżby dopiero byli zeznali ludzie pokrzywdzeni, jeżeli koledzy-biurokraci, wysilający się na pobłażliwość, tylu nikczemności, jako notorycznych, już absolutnie ani ukryć, ani usprawiedliwić nie próbowali. Ale pokrzywdzonych nie słuchano i nie pytano o nic, chociaż ofiarą i skarżącym był dawny komisarz cyrkularny, Przychocki, obywatel pewnie lojalny, skoro odznaczony został wysokim orderem Leopolda. Prezydjum gubernialne dyskretnie poprzestało na informacjach, zasięgniętych w sposób „w oko nie wpadający". Za to dziwoląg ten tak wpada w oko, że sam jeden wystarcza do zachwiania wiarogodności br. Sali, co do jego protestu przeciw polskim „oszczerstwom", na biurokrację rzucanym.

Jeżeliby tylko starosta bocheński krępowany był wobec Vitzthuma, a prezydjum gubernialne było istotnie tak niewtajemniczone w nadużycia, jak to br. Sala w swojem dziele przedstawił, to już po takiem, przez samo gubernium napisanem, resumé skargi i szczegółów sprawdzonych, wypadałoby oczekiwać gromów, ciśniętych na starostę bocheńskiego i wymiaru jakiej kary na Vitzthumie. Tymczasem prezydjum gubernialne nie wysłało do kancelarji nadwornej żadnej relacji, nie dało skarżącej stronie żadnej, chociażby frazesowej, satysfakcji, nie wytknęło nawet Vitzthumowi nadużyć, lecz przewlekłszy sprawę do wiosny roku 1847, wystosowało do starosty w Rzeszowie, gdzie już wtedy przebywał przeniesiony do tego cyrkułu Vitzthum, następujące rozporządzenie: „Załączona relacja starosty bocheńskiego wraz z dodanemi do niej opiniami komisarzy cyrkularnych, Vajdy i Gedla, poinformuje WPana o niewłaściwościach, zarzuconych zostającemu obecnie w służbie przy Rzeszowskim urzędzie cyrkularnym, gubernialnemu praktykantowi konceptowemu, Vitzthumowi, z czasów, gdy tenże służbę pełnił w bocheńskim urzędzie cyrkularnym, mianowicie z czasów powstania, oraz o wątpliwościach wyrażonych co do jego charakteru nieposzlakowanego. Komunikuje się WPanu ten akt z wezwaniem, abyś na tego zresztą z gorliwości i zręczności korzystnie znanego urzędnika, którego nieroztropne i niewczesne wyrażenia, jeżeli je rzeczywiście wypowiedział, tylko panującem wówczas wzburzeniem dadzą się usprawiedliwić, zwracał w przyszłości uwagę, zalecał mu usilnie spokój i umiarkowanie w urzędowaniu, a przytem wyrobił sobie należytą opinię o jego moralnem zachowaniu się i jego prawości, donosząc o ewentualnych ujemnych spostrzeżeniach w tej mierze".

Oczom własnym nie chce się wierzyć, że przełożona władza, zamiast skarcić takiego hultaja, wystawia mu świadectwo pochwalne jako „urzędnikowi znanemu korzystnie z gorliwości i zacności", mieniąc jego czyny i oczywistą kwalifikację kryminalną tylko „niewłaściwościami" i to jeszcze „usprawiedliwionemi panującem wzburzeniem", każe staroście rzeszowskiemu dopiero „wyrabiać sobie należytą opinię o prawości" — nikczemnika. Ten jeden fakt uzasadniałby już dostatecznie ujemny sąd o biurokracji z 1846.

Nie wiemy, jaką opinię wyrobił sobie ostatecznie starosta rzeszowski o Vitzthumie, ale opinia o prezydjum gubernialnem w tej sprawie może być tylko jedna, to jest ta, że wobec Vitzthuma było krępowane tak samo, jak starosta bocheński — poczuciem współwiny i wspólnej odpowiedzialności. A br. Sala tak się oburza w swojem dziele na podobne twierdzenia, ze strony polskiej podnoszone. Skoro, jak się sam w swojem dziele chwali, miał w ręku wszystkie akta gubernialne, to i o sprawie Vitzthuma posiadał urzędowe dane. Nie wiemy, czy akt przez nas przytoczony znajdował się w ręku br. Sali w

chwili, gdy się zabierał do pisania swojej „historji“, ale że miał go w ręku w roku 1847, jako ówczesny radca gubernialny, stojący najbliżej wielkiego ołtarza, to fakt najpewniejszy pod słońcem. (C. d. n.)

Nie masz przebaczenia!

(Dokończenie.)

....Przyskoczyłem do niej, wywlokłem ją na dwór i skinąłem na dorożkę. Tymczasem ona otworzyła oczy — czarownie cudne oczy; — uścisnęła mię przy tem za rękę i szepnęła słowo podzięki — ale te oczy; te oczy niebiańskie; serce me zadrżało w przeczuciu nieznanych rozkoszy....

....Kiedy dorożkarzowi podała adres, pojechaliśmy przez Via Quarttro Fontane i Via Sistina do Piazza del Popolo i przez ulicę.... ulicę.... jakże się nazywa....

— Mniejsza zapewne o nazwę tej ulicy — przerwał pan R., którego widocznie opowiadanie mocno zajęło. Spirydjon Janowicz pochylił głowę w tył na poręcz krzesła i puszczał dym w górę ku powale, jakby rozkoszował się wspomnieniami.

— I cóż? — zapytał się p. R. po pauzie dosyć długiej. — Jechałeś pan zatem z piękną grzesznicą przez Piazza del Popolo, a potem przez ulicę, której nazwy nie pamiętasz....

— Ja? — zapytał się Spirydjon Janowicz tonem naiwnego zdumienia.

— Naturalnie, że pan! Przecież mi pan opowiadałeś, że dziwna ta przygoda pana spotkała w Rzymie?

— Niestety — odrzekł Spirydjon — niestety nigdy w Rzymie nie byłem. To co panu opowiedziałem, to poprostu wytwór mojej fantazji, nowela. Kościół Santa Maria Maggiore ze starożytnymi słupami jońskimi, o które można się oprzeć, — znalazłem w „Baedekerze“, tam też znalazłem i ulice aż do Piaza del Popolo. Poza tę Piazza jednakowoż dostać się nie mogłem, bo chociaż natężałem mój umysł do granic ostatecznych, nie umiałem obmyśleć zakończenia tej noweli. Dlaczego mojej bohaterce mnich nie chciał dać absolucji, — nie mam pojęcia, i chociażbyś mię pan poddał torturom, nie zdołam odgadnąć. Spisałem początek noweli dlatego, iż spodziewałem się napewno, że przy pisaniu przyjdzie mi na myśl jakieś zakończenie. Ale nic mi na myśl nie przyszło. Myśl o tem nie dawała mi spokoju ani we dnie, ani w nocy. Nadaremnie. Ugrzązłem na Piazza del Popolo.

— O, — rzekł dyrektor z niechęcią, — ale po cóż mi pan całą tę nowelę opowiadasz? I jaki to wszystko ma związek z moją żoną?

— Że z tą całą nowelą ma bardzo ścisły związek pańska małżonka, przekonasz się pan zaraz, skoro mię pan tylko zechcesz wysłuchać do końca. Zeszłego roku bowiem w zimie, kiedy w pewnej kawiarni zastanawiałem się głęboko nad zakończeniem mojej noweli, ukradziono mi palto zimowe....

— Mój panie!

— Ukradziono mi palto zimowe, powiadam. W wewnętrznej kieszeni tego palta znajdował się manuskrypt mojej noweli niedokończonej. Teraz zaś — (tu pan Spirydjon wyjął pewne czasopismo tygodniowe z kieszeni) — gazeta ta podaje nowelę pod tytułem: „Nie masz przebaczenia! — przez Pawła Wyrwicza“. Jest to moja nowela, to jest początek jej, przezemnie opracowany, w dosłownem brzmieniu, a dokończenie dorobione przez owego „Wyrwicza“ i to w sposób, który mnie wprawdzie niezupełnie zadowalnia, ale przecież jakoś daje całość zaokrągloną.

Pan R. wyjął zegarek i powiedział:

— Przepraszam, ale jeszcze zawsze zrozumieć nie mogę....

— Udałem się natychmiast mocno podrażniony do redaktora tej gazety. Nie zależało mi wprawdzie na noweli, ale mi dużo zależało na paltcie zimowem, bo było prawie nowe. Zapytałem się redaktora, kto to jest taki ten Paweł Wyrwicz. Nie chciał mi odpowiedzieć. Powiedziałem mu tedy, że przed policją będzie musiał się przyznać i opowiedziałem mu rzecz całą. Wtedy on, prosząc mię na miłość Boską o dyskrecją, przyznał się, że pod tym pseudonimem kryje się pańska małżonka!

— Ach zatem pan twierdzisz, że moja żona bez mojej wiedzy zajmuje się pisaniem i używa pseudonimu mężczyzny? I takie miało znaczenie szczególne pańskie twierdzenie, że moja żona nie jest kobietą?

— Byłem zmuszony rozpocząć w taki sposób, by pana mocno zainteresować. Bo czas pański był ograniczony a nawet.... myślałeś pan o policji. Ale teraz już pan o policji nie myślisz? Także i ja tego jestem zdania, że przy szukaniu związku pomiędzy mojem paltem, a panem.... Pawłem Wyrwicz lepiej jest obejść się bez interwencji policji....

Pan R. powstał z uśmiechem i rzekł:

— Masz pan słuszność. Najlepiej to zaraz uczynić. Moje prywatne mieszkanie znajduje się w tym samym domu, tuż obok. Ale proszę parasola nie brać ze sobą: ręczę panu, że w mojem mieszkaniu deszcz nigdy nie pada...

Kiedy obaj weszli do saloniku, pani R. siedziała zaczytana w noweli p. t. „Nie masz przebaczenia!“ Dyrektor zawołał wchodząc:

— Moja droga jesteś zdemaskowaną! Jesteś mężczyzną!

— ? ? ? — uśmiechnęła się.

— Jesteś Pawłem Wyrwiczem!

— Ach, to szkaradnie ze strony tego redaktora. Przyrzekł, że mnie nie zdradzi.

— Musiał to uczynić — odrzekł pan R. i opowiedział krótko żonie o tem, o czem mu opowiadał pan Spirydjon Janowicz.

— Pośród takich okoliczności — powiedziała pani R. — nie mogę istotnie dłużej prawdy ukrywać. Krótko powiem: Pewna moja znajoma, kobieta niesłychanie nerwowa, przed niejakim czasem siedząc w swoim ogrodzie, przeraziła się, kiedy spadł tuż koło niej jakiś zeszyt rzucony przez kogoś przez parkan otaczający ogród. Był to manuskrypt tego pana. Widocznie przerzucił go złodziej palta, chcąc go się pozbyć. Owa pani odczytała manuskrypt,— i od tego czasu jej się pogorszyło, gdyż opanowała ją chorobliwa, nerwowa ciekawość, jaką mogła być wina nieznajomej, za którą „nie masz przebaczenia“. W końcu postanowiłam dla uspokojenia jej nerwów dokończyć powiastkę i oddać ją do druku pod przybranem nazwiskiem.... Co zaś do palta pańskiego....

— To moja żona najzupełniej jest niewinną, — przerwał pan R. — mogę panu mem słowem za ręczyć. Chodziłoby przeto tylko o prawo autorskie do honorarjum. Pozwól pan sobie ofiarować.... — tu pan R. wręczył panu Spirydjonowi Janowiczowi banknot stuguldenowy.

Pan Spirydjon Janowicz schował banknot, skłonił się i rzekł:

— Bardzo mi przyjemnie! Doprawdy nie sądziłem, by ta rzymska nowela tyle mi przyniosła, nie mówiąc już o palcie zimowem....

Z naszych prywatnych galeryj.

ZBIORY
Dra Stanisława Larysz Niedzielskiego
w Śledziejowicach.

(Ciąg dalszy).

Inny portret bujnej kobiety w białej atłasowej sukni przypomina nam portrety Wenecjanek malowanych przez Palma Vecchio (obraz z galerji X. Kaunitza).

Do włoskiej szkoły zaliczyć należy św. Jana w chłopięcym wieku w ślicznym pejsarzu (z galerji X. Kaunitza), starą piękną kopię Madonny à oeillet Rafaela (oryginał dziś w posiadaniu Rotschilda), Św. Rodzinę (zczerniałą). Gody weselne, Madonnę z dzieciątkiem, głowę Madonny z bolońskiej szkoły, Chrystusa z Magdaleną (małych rozmiarów), dwa niewielkich rozmiarów pejsarze pełne powietrza i głowę mężczyzny w średnim wieku (naturalnej wielkości) rysowaną czerwoną kredką. Do włoskiej szkoły zaliczyć należy śliczny pejsarz dużych rozmiarów Gaspa-



Portret kobiety, szkoła wenecka XVI. wiek, (pochodzi z galerji X. Kaunitza).

ra Poussin (Dughet) chociaż mistrz był Francuzem. Obraz ten pochodzi z galerji hr. Brunetti a kupiony na licytacji Gsella w roku 1873. — Podnieść należy dwie miniatury na pergaminie z których jedna głowa św. Jana na półmisku z r. 1534 jest bardzo ciekawa, pochodzi z Ewangieliarza Stanisława Górnickiego dla Biskupa Piotra Pomickiego, kupiona na licytacji po Masłowskim w Krakowie.

Ze szkoły francuskiej pochodzi jeden obraz dużych rozmiarów Znalezienie Mojżesza, zmanierowany, niesmaczny, z wcale dobrym pejsarzem prawdopodobnie z początku XVIII. wieku.

Do szkoły holenderskiej należy śliczny pejsarz na drzewie Govaertsa z XVII w. (bardzo podobny większych rozmiarów, znajduje się w galerji w Hadze). Niezwykłej piękności jest Złożenie do grobu (szczególniej postać Chrystusa), któremu pokrewne obrazy przed pojawieniem się Morellego zaliczano do szkoły włoskiej i chętnie Caraccim przypisywano — dziś uznano je za Holendrów. Śliczna główka chłopca w berecie van Berga malowana na drzewie (z galerji X. Kaunitza), druga z tejże galerji jest dziełem Adriana Ostade malowana na drzewie, kupiona na licytacji Kirchmajera. Kiermasz holenderski malowany na drzewie przez Piotra Gytsels'a ucznia Breugla z XVII. w. Popas przed karczmą z XVII. w. na płótnie. Do tej sfery należy przepyszna kopia Rembrandta (oryginał w galerji X. Lichtensteina) przez Andrzeja Grabowskiego, jak również ładna kopia Wauwermanna (z galerji X. Lichtensteina) przez Artura Grottgera, olejno, (rozmiar 0·48·8 X 0·60·6). Tegoż autora są śliczne cztery akwarelle z wielką siłą kolorytu z r. 1855 wszystkie w Śledziejowicach malowane, mianowicie: 1) Żydzi sprzedający konia, (rozmiar 0·37 X 0·52 ctm.) jako pejsarz Śledziejowic. 2) Napad Szwedów, (rozmiar 0·43 X 0·58 ctm.). 3) Czyszczenie broni, (rozmiar 0·42 X 0·58 ctm.). 4) Byk holenderski, (rozmiar 0·38 X 0·52 ctm.) — wreszcie trzy rysunki ołówkiem: Zygmunt August na łowach, (rozmiar 0·34 X 0·27 ctm.), Portal kościoła św. Katarzyny w Krakowie, (rozmiar 0·29 X 0·23) i Głowa końska, rysowana w Śledziejowicach w r. 1865 (rozmiar 0·24 X 0·30 ctm.). — Wspaniałym jest poprostu Daszkiewicz, Jana Matejki, z r. 1874, z jego mniejszych dzieł jedno z najpiękniejszych, również ładny rysunek ołówkiem: Dwie głowy charakterystyczne. — Bardzo ładny a pełen werwy jest obraz Piotra Michałowskiego, przedstawiający szwadron huzarów austrjackich. Pełen nastroju przypominający zupełne przejrzysto cienie Holendrów jest Baca Kotsica. Z nowoczesnych jest ładny pejsarz Tepy i bardzo ładna postać kobieca w średniowiecznym stroju (olejna), Krzesza, ładna główka kobieca, Stachiewicza, ołówkiem. Pejsarz piórkiem, Benedyktowicza. Wreszcie wspomnąć należy o pię-



Św. Jan (pochodzi z galerji X. Kaunitza) szkoła włoska.

knej miniaturze Stanisława Augusta — piękna kopia z portretu Sobieskiego jak również o dwóch akwarellach Stachowicza. Są i piękne sztychy jak n. p. słynny Le chevalier de la mort Albrechta Durera z r. 1513. Śliczna głowa starca, tegoż malarza. Święta rodzina Łukasza Cranacha, śliczny wielkich rozmiarów sztych Edeling'a, Chrystus na krzyżu, podług Le Brun'a, ładne krucyfiksy, jeden z kości słoniowej, drugi gotycki, rzeźbiony w drzewie z Trójcą św. i figurami Matki Boskiej i św. Jana. Wielki piękny gobelin z napisem: Amor arbo ve genitus (3·26 × 4·45). Śliczna srebrnolita makata wschodnia (1·33 × 2·20) — druga takaż jedwabna. Trzy piękne pasy polskie, jeden rycerski, cenna i piękna karabela po Stanisławie re vera Potockim.



Stara kopia (XVI. lub XVII. wiek Lorenzo Lotto?) Madonny Rafaela à oëillet.

Jakób i Ezaw Hemskerka z r. 1549, Sąd ostateczny, podług Michała Anioła Leonarda Gaultier z r. 1552. Sztychy Egidiusa i Jana Sadelera Falka, Roberta Strange, Marc Antonio Rajmondi (rówieśnik i falsifikator Alberta Durera) i wiele innych. Jest i kilka ładnych majolik i ładna duża waza grecka. Znajdują się tu dwa Pełna zbroja husarska a wreszcie dwa cenne meble: staroświecka komoda z pięknemi intersjami, Louis XV. i prześlicznej roboty stół z mozaiką drewnianą — prawdziwe dzieło sztuki, pochodzi on z późniejszych czasów.

(C. d. n.)

CONON DOYLE.

TAJEMNICA BASKERVILLE'ÓW

Dziwne przygody Sherlocka Holmes.

Przekład z angielskiego

EUGENII ŻMIJEWSKIEJ.

(Ciąg dalszy).

Zauważyłem w nim odrazu coś niezwykłego; ale to, com widział zeszłej nocy, utrwala mnie w najgorszych posądzeniach.

A jednak sam fakt może się wydać błahym.

Wiesz, że mam sen lekki, a od chwili gdym tu przybył w charakterze anioła stróża, sypiam z otwartemi oczyma.

Otóż wczorajszej nocy, około drugiej, obudził mnie odgłos kroków, przechodzących obok mojego pokoju. Wstałem, uchyliłem drzwi i wyjrzałem. Po korytarzu sunął długi cień, rzucany przez mężczyznę, zakradającego się na palcach ze świecą w ręku. Był w koszuli i spodniach, szedł boso, powoli i bardzo ostrożnie, w całem jego zachowaniu było coś tajemniczego.

Korytarz przecięty jest balkonem, znajdującym się nad główną sienią i portykiem, ale biegnie dalej po jego drugiej stronie. Gdym stanął przy balkonie, ów cień dotarł już był do drugiego końca korytarza; po blasku światła zmiarkowałem, że wszedł do jednego z przyległych pokojów.

Ponieważ wszystkie te pokoje są nieumeblowane, przeto cel wędrówki stawał się jeszcze bardziej zagadkowym. Światło błyszczało stale w jednym punkcie. Zajrzałem do tego pokoju przez drzwi uchylone.

Barrymore stał pod oknem i trzymał świecę przy samej szybie. Zwrócony był do mnie profilem; widziałem na jego twarzy wyczekiwanie i niepokój. Przez chwilę stał nieruchomo, wreszcie coś mruknął, machnął ręką i świecę odstawił.

Uciekłem do mego pokoju. Niebawem doleciały mnie znowu ciche kroki. Barrymore wracał.

Przez długi czas nie mogłem się uspokoić, tysiączne myśli i podejrzenia przelatywały mi po głowie. Już w pół śnie usłyszałem zgrzyt klucza we drzwiach, ale nie mogłem zmiarkować w których.

Co to wszystko znaczy — nie wiem, lecz w każdym razie dzieją się w tym domu rzeczy dziwne, nie rokujące nic dobrego. Wcześniej, czy później, wyświetlimy zagadkę. Nie chcę cię bałamucić mojemi przypuszczeniami, albowiem żądasz tylko faktów.

Miałem dziś rano długą rozmowę z sir Henrykiem i obmyśliliśmy plan kampanji. Znajdziesz go w moim następnym liście.

IX.

(Drugie sprawozdanie doktora Watsona).

Światło na bagnie.

Baskerville-Hall, 15 października.

Kochany Holmes!

Pozostawiłem cię wprawdzie długo bez wiadomości, za to dziś pragnę cię odszkodować.

Fakty następowały tak szybko po sobie, że trudno było je spisywać. Donosiłem ci, żem widział Barrymora, zakradającego się po nocy ze światłem w ręku do pustego pokoju. Teraz mam całą wiązankę nowin. Rzeczy wzięły obrót niespodziewany, w ciągu dwu dni ostatnich wyświetliła się niejedna zagadka, a inne zaciemniły się jeszcze bardziej. Sam osądź.

Nazajutrz, przed śniadaniem, poszedłem do pustego pokoju, nawiedzonego przez Barrymora nocy ubiegłej. Okno, przez które zaglądał, wychodziło na zachód i odznaczało się tem od innych, że był z niego najbliższy widok na bagno. Jest tam puste miejsce pomiędzy dwoma drzewami, przez które widać z bliska łąkę i oparzelisko; wówczas, gdy z innych okien widok na nie jest dalszy i zasłoniony.

Czyżby Barrymore upatrywał kogoś lub czegoś na bagnie? Noc była tak ciemna, że przy najlepszym wzroku niepodobna było nic dojrzeć. Więc jakiż był cel tych obserwacyj?

W pierwszej chwili sądziłem, że to intryga miłosna. Dlatego zakradał się boso, dlatego był niespokojny. Barrymore jest niezwykle pięknym mężczyzną i może mieć powodzenie u kobiet — ta hypoteza wydała mi się prawdopodobną. Zgrzyt klucza w zamku świadczył może o potajemnem wyjściu na schadzkę.

Takie wysnuwałem wnioski: opowiadam ci je, chociaż rezultat wykazał ich bezpodstawność.

Sądząc, że nie mam prawa zachowywać ich dla siebie, zwierzyłem się z nich przed sir Henrykiem, opowiedziawszy mu wpierw, com widział. Był mniej zdziwiony, niż mogłem przypuszczać.

— Wiem, że Barrymore chodzi po nocy — oświadczył. — Kilka razy słyszałem jego kroki w korytarzu o jednej i tej samej godzinie.

— Więc może co nocy chodzi do okna.

— Może. W takim razie schwytamy go na gorącym uczynku i przekonamy się o celu jego wędrówek. Ciekaw też jestem, jakby postąpił Holmes na naszem miejscu?

— Sądzę, że zrobiłby to samo, co pan zamierzasz — odparłem. — Boję się tylko, aby Barrymore nie usłyszał naszych kroków.

— Ma słuch tępy; zauważyłem to już nieraz. Zatem dziś wieczorem zaczaimy się w moim pokoju.

Sir Karol rad był widocznie; ta nowa wyprawa była urozmaiceniem nudnego życia.

W pałacu panował ruch gorączkowy. Baronet sprowadził architekta z Londynu, zaś z Plyomouth — stolarzy i dekoratorów; nie szczędził kosztów, aby przywrócić dawny blask siedzibie swoich przodków.

Skoro pałac zostanie urządzony, brak w nim będzie tylko — pięknej pani domu.

Między nami mówiąc, łatwo domyślam się, kto mógłby zająć to miejsce. Baronet zakochany po uszy w naszej pięknej sąsiadce, miss Stapleton.

Lecz na drodze tej miłości istnieją przeszkody. Niedalej, jak dziś, sir Henryk miał przykrą niespodziankę.

Po naszej rozmowie o Barrymorze, wziął czapkę i wyszedł. Ja za nim.

— Towarzyszysz mi, Watson? zapytał z widocznem niezadowoleniem.

— To zależy od tego, dokąd pan idzie; jeżeli na łąkę i bagno, pójdę z panem.

— Właśnie tam podążam.

— Wszak pan wie, co mi polecił Holmes... Przykro mi, że się panu narzucam, ale nie mogę puścić pana samego na trzęsawiska.

Sir Henryk położył mi rękę na ramieniu.

— Mój drogi — rzekł z uśmiechem — Sherlock Holmes, pomimo swej przenikliwości, nie przewidział tego, co wynikło od czasu, jak zamieszkałem nad bagnem. Wszak mnie rozumiesz?... I jestem pewien, że nie zechcesz przeszkadzać mi w takiej chwili.

Byłem w trudnem położeniu, a gdym tak stał zafrasowany, mój towarzysz odwrócił się i poszedł przez łąkę.

Czyniłem sobie wyrzuty, że go pozostawiam własnemu losowi. A nuż go spotka nieszczęście!...

Na samą myśl o tem, krew uderzyła mi do głowy.

Może jeszcze nie zapóźno, może zdołam go dogonić...

Podążyłem w kierunku, w którym sir Henryk odszedł, ale nie mogłem go dostrzedz, aż wreszcie ukazał mi się na zakręcie drogi, tam gdzie ścieżka, wiodąca przez trzęsawisko, odbiega od gościńca.

Skręciłem w bok, i zamiast iść za nim, wspiąłem się na mały pagórek, skąd było widać całą równinę. Ukrywszy się za skałą, śledziłem jego kroki.

Uszedł ścieżką dobre pół mili, gdy nagle zobaczyłem zbliżającą się ku niemu pannę Stapleton.

A więc to była schadzka umówiona.

Przywitawszy się, szli dalej, bardzo wolno; z poruszenia rąk miarkowałem, że miss Baryl o coś prosi.

Namyśliłem się, co robić. Wstrętnem jest szpiegować przyjaciela, jednak w danych okolicznościach było to moim obowiązkiem; lecz gdyby mu groziło niebezpieczeństwo, byłem zadaleko, aby nieść pomoc. Więc cóż począć? Wahałem się między poczuciem delikatności a obowiązku.

Tymczasem sir Henryk i jego towarzyszka stanęli na ścieżce. Rozmawiali bardzo żywo. Nagle spostrzegłem, że nie ja jeden jestem świadkiem ich spotkania Ujrzałem coś zielonego, zawieszonego w powietrzu. Przyjrzawszy się, zobaczyłem, że to siatka na motyle.

Szedł Stapleton. Był daleko bliżej od młodej pary, niż ja, i widocznie podążał ku niej.

Wtem sir Henryk objął wpół miss Stapleton zdawało mi się, że ona broni się od uścisku. Pochylił się nad nią, chciał ją pocałować — zasłoniła się ręką.

Nagle odskoczyli od siebie. Spłoszył ich Stapleton. Pędził co tchu, wymachiwał rękoma, a gdy się z nimi zrównał — począł tupać nogami, krzyczał i zapewne robił wymówił sir Henrykowi. Ten widocznie usprawiedliwiał się.

Wreszcie Stapleton skinął na siostrę, która po chwili wahania poszła za nim, rzuciwszy spojrzenie baronetowi.

On stał długo, jak wryty, wreszcie odszedł krokiem powolnym, z głową zwieszoną.

Co to wszystko znaczyło? Nie mogłem pojąć, lecz byłem wzburzony widokiem tej sceny. Zbiegłem ze wzgórza i spotkałem się z sir Henrykiem.

— Watson! — zawołał. — Skądże się tu wziąłeś? Czyżbyś mnie śledził wbrew mojej woli?

Wyznałem mu prawdę. W pierwszej chwili oczy zapałały mu gniewem, lecz rozbroiła go widocznie moja szczerość; koniec końców — roześmiał się.

— Możnaby sądzić, że takie pustkowie sprzyja samotności, a jednak — mówił żartobliwie — niepodobna konkurować bez świadków... Smutne to zresztą konkury... Gdzieżeś się ukrywał?

— Za temi skałami, na wzgórzu.

— Czy widziałeś, z której strony jej brat przyszedł?

— Z przeciwnej.

— Czy on robi na tobie wrażenie warjata?

— Nie.

— Od pierwszej chwili wydał mi się nienormalnym, a teraz gotów jestem przypuścić, że mnie, albo jemu braknie piątej klepki. Słuchaj, Watson: żyjesz już ze mną parę tygodni, powiedz mi szczerze, czyś nie spostrzegł we mnie jakiego umysłowego zboczenia? Jak znajdujesz: czy mógłbym być dobrym mężem dla kobiety ukochanej?

(C. d. n.)

Nakładem Redakcji „Głosu Narodu". Z drukarni J. Czaińskiego w Gródku.